GONIEC
TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

№ 20. Warszawa, dnia 5 (17) Maja 1877 r.



Fotodruk L. Krakowa.

Helena Cholewicka.

HELENA CHOLEWICKA.

Niejaki Marcel, francuz, który doszedł do wielkiéj w nogach biegłości i trudnił się układaniem stóp w wdzięczne „pozycye“— rzekł raz do pewnego mniéj zgrabnego niemca:

— *Monsieur, vous sautez, on ne danse qu'en France, mais—hélas! l'on n'y fait que cela de bien!*

Skłamał!

Tak—Marcel skłamał—wyrokując bowiem nie widział naszych tańców, nie był nigdy... na warszawskim balecie.

Nie dziwię się jednak, że ów Marcel nie znał naszego zamaszystego mazura, oberków naszych i krakowiaków, w których jak i w innych tańcach, obcych nawet, prawdziwą rozwijamy zręczność — lecz boli mnie to, że pominął warszawski balet, który swego czasu miał rzeczywiście europejską sławę, nawet za granicę tańczącéj Francyi przechodzącą.

Ale taka to już losów niesprawiedliwość, iż nawet do tańca animuszu odmówić nam może lada Marcel!

Wspomnieliśmy o sławie warszawskiego baletu.

Istotnie były czasy w których balet nasz za wzór europejskim Terpsychory rzeszom stawiano.

Kiedy to było... rzec się nie ośmielimy, balet bowiem rachuby czasu nie znosi i o latach zapomina.

Dość, że dawno już temu za czasów Strauss, Stefańskiéj, Freytag, Tarnowskich, Turczynowiczów.

Ostatnią „szkoły“ téj reprezentantką jest panna Helena Cholewicka, dzisiejsza *prima ballerina* sceny warszawskiej.

O tańcu wiele mówić można, pisać jednak trudno, zwłaszcza o choreograficznych produkcyach panny Cholewickiéj, która z krwi i kości jest tancerką.

Zda się, iż ona fruwa, szybuje w powietrzu, do ziemi przypada, leci, wznosi się co raz wyżéj, w niezliczonych obraca się kołach, wiruje... i nagle w błyskawicznym skoku staje za kulisami.

Raz sylfie to pląsy, to znowu łabędzie pływanie.

Stopy ma dziecka; a zwinną jest jak jaskółka, gazella lub piorun.

Do szybkości takiéj, precyzyi i gracyi, nie przychodzi się tak łatwo. Potrzebne są na to lata pracy, roboty ciężkiéj w pocie czoła, wyczerpującéj nieraz siły.

Wrodzona zdolność nie daje wszystkiego. Pilność, która zdaniem germanów matką jest geniuszów, tu niezbędnie jest téż potrzebną.

Wymaga się tu studyów przygotowawczych, jak we wszystkiém — zacząwszy od szewstwa a skończywszy na malarstwie.

Rzecz swoją pojmuje panna Cholewicka poważnie, jak każda z uczennic Taglioni, do których rzędu i ona się liczy.

Prócz tego warunku, panna Cholewicka ma téż arcy rzadki tancerski temperament; trudno o ballerinę z większym zapałem.

Sztuka dla sztuki!

Nie tylko my ją witamy grzmotem oklasków, kwiatów mnóstwem i brylantami—publiczność zagraniczna ocenia ją równie wysoko.

Wszak przebywając w Neapolu w teatrze san Carlo w r. 1873 była bohaterką sezonu karnawałowego, a w czasie wystawy powszechnéj wiedeńskiéj, zdumiewała powiewnością swego tańca wszelakie ludy.

I tam jak u nas na „Twardowskim“ „Bogini“ lub „Meluzynie“ i „Jocie“ garnęły się dla niéj do teatru tłumy choreografii zwolenników!

Szkoda tylko, że jéj Marcel, ten zarozumiały tancmistrz nadsekwański nie widział, pewno bowiem zmieniłby swe zdanie.

W zakład dajemy pióro kronikarskie, iż oczarowałaby go nasza ballerina, z którą rozstając się w téj chwili, wołamy „pierwszego rzędu krzeseł“ obyczajem:

— Bravissimo Cholewicka! *Cello.*

* *
*

Nie dogonię... chwil pustoty,
Chwil orlęctwa, chwil zapału.
Zgasł młodości promień złoty
Wschodzi życia mrok pomału...

Nie dogonię... ptaszki krasnéj
Com ją w swojéj pieścił dłoni,
Ani nocy cichéj, jasnéj,
Wśród jaśminów i róż woni..

Nie dogonię już spojrzenia
W którém z nieba wszystko było,
Ach! spojrzenia co przemienia
Lód w płomienie swoją siłą...

Nie dogonię... słowa dźwięku
Burzącego serce w łonie--
Wszystko znikło... nic prócz jęku...
Siebie więcéj nie dogonię!

tc.

ROMANS ADELINY PATTI.

(*Dokończenie*).

Czasami dość źle mówią o inteligencyi... tenorów.

Jest podobno nawet przysłowie mocno dyskredytujące tych słodkich trubadurów i nakazujące nie wymagać od nich nic więcéj prócz... śpiewu.

Przysłowie to francuzkie—a mimo to bardzo niegrzeczne—często i z wielką lubością stosowała Nillsson do Nicoliniego, jednego z najdzielniejszych a może i najbardziéj celnego z tenorów dzisiejszych.

Nicolini blondyn, francuz podobno, śpiewa z włoskim temperamentem — nikt przypuszczać nie może iż gardło jego innéj jest... narodowości.

Śpiewał on z równą siłą za czasów swéj młodości jak i dziś gdy już wszedł w życia lato.

Zapału jego nie ostudziła nawet małżonka, kiedyś cyrkowa tancerka, ani téż nie zgłuszyło jego tonów półtuzina małych nicoliniąt.

A taka małżonka jak pani Nicolini żywota nie umaja, owszem czyni go jesieni podobnym, porze pełnéj wichrów, szarugi i cienia.

Zazdrosna, podejrzliwa, narzucająca się ze swém nieograniczoném uczuciem, dręczyła ona niepospolicie tenora ze strony moralnéj; mówiono téż iż równie dotkliwe razy dostawały się znakomitemu Radamesowi ze strony.... fizycznéj.

Podobno waleczny Manrico wchodził nieraz na scenę dobrze uróżowany rączką małżonki — a raz nawet Edgar, przed sceną grobową, otrzymał potężne cięcie z dłoni.... żoninej.

Jak kret umiała się wryć pani Nicolini pomiędzy kulisy i przystawki, za któremi rozmawiał jéj małżonek z damami teatralnemi.

Żaden zbir włoski lub najemnik inkwizycyi, nie miał równie co ona wydoskonalonego słuchu—Nicolini patrzéć, mówić, oddychać prawie bez kontroli swéj małżonki nie mógł.

A jednak... od czasu do czasu, udało mu się wymknąć z więzów strasznych i poigrać z... uczuciem!

W jednéj z takich faz miał się zbliżyć do Nillsson i wtedy to „szwedzki słowik“ po raz pierwszy aplikuje doń owo francuzkie przysłowie.

Nicolini cofnął się zręcznie i dał za wygranę, choć inni zupełnie inaczéj a dla tenora chlubniéj o awanturze téj mówią.

Wędrowne dzieci Erato widzą się raz na téj, to znów na drugiéj połkuli świata, jak chce los lub... impressario.

Wielki tenor spotkał na drodze swego życia, w połowie swéj karyery, Adelinę Patti.

Tenorowa gwiazda zeszła się z sopranowém słońcem.

Blask ztąd powstały pamiętny będzie w dziejach sztuki.

Gwiazda zstąpiła jednak z regionów sztuki, wzięła na się tużurek i poczęła przypatrywać się bliżéj i dokładniéj słońcu, co znów z błękitu do buduaru przesadzone w uroczy peniuar strojne, miało wdzięk nieopisany.

Nicolini i Patti śpiewali z sobą coraz chętniéj. W duetach czuli się dziwnie dysponowani — a poświadczyć to może publiczność stolic: petersburskiéj i wiedeńskiéj.

Tony ich rajską tworzyły harmonię, gra ich zlewała się w estetyczną całość.

Pani Nicolini jakby instynktem jakimś wiedziona, podwoiła liczbę razów — uprzejmy markiz de Caux wytężył wzrok po raz pierwszy.

Czyż by parę śpiewaczą już podejrzywano?

Strakoscha jednak już nie było i zakulisowéj gawędzie Patti z Nicolinim przeszkodzić nikt nie potrafił, zwłaszcza iż czujność pani Nicolini czasem słabła.

Dziś argus zdrzemnąć się nieraz musi!

Dawano „Traviatę“ — a po przedstawieniu pan de Caux stanowczo zakonkludował, iż jego Adelina ostatni sezon z Nicolinim śpiewać już będzie.

Pan de Caux widocznie dostrzegł coś niebezpiecznego.

* *
*

Raz w noc zimową, gwiazd pełną — w Petersburgu to było—do ekwipażu Patti umiał się wkraść Nicolini.

Sanna była doskonałą, Patti mimo przestróg garderobiany chciała użyć szlichtady.

Tak się téż stało. Schowana w wielkie, miękkie futro, z tenorem u boku, puściła się w drogę. Pędzono co koń wyskoczył.

Przy powrocie *diva* przyszła do przekonania, iż lord K.,— wszak pamiętny jeszcze — daleko mniéj przyjemnym był od Nicoliniego towarzyszem.

Potwierdziła to i garderobiana, dla któréj rumiany Nicolini téż był ideałem.

Sezon się skończył, sezon r. 1876 i Patti przez Wiedeń wróciła do Paryża.

W owym czasie Nicolini rozpoczął swój skandaliczny proces rozwodowy, w którym wszakże ani razu nie wspomniano nazwiska Patti.

Pani Nicolini o inne sentymenta obwiniała męża.

Przez przeciąg tego czasu — jeśli baśniom wierzyć — Patti korespondowała z Nicolinim—ależ któż listy widział?!

* *
*

Rozpoczyna się sezon ostatni.

Zjeżdża królowa w całym swym majestacie i bożyszcze petersburskich melomanów — rozbijając z rzadką ostentacyą swéj zwyczajny namiot.

Lecz pomimo umowy z impressariem, umowy zawartéj przez pana de Caux a usuwającéj Nicoliniego od wtórowania jego żonie, zjawia się nasz tenor.

Powstaje ztąd zajście zakulisowe po wspolnym występie śpiewacznéj pary w „Traviacie.“ Wszak wszystkim dobrze znane?

Markizostwo dochodzą do sprzeczki, a pan markiz zawsze w sposób grzeczny, konstatuje stanowczą i niepowrotną już zmianę w swojéj Adelinie!

Małżeństwo się rozpryska.

Nicolini i Patti występują w Wiedniu, z początkiem chłodno przyjmowani, późniéj wszakże entuzjazm budząc.

Patti znów stąpa po kwiatach obrylantowanych, dłoń w dłoni z tenorem.

Opuszczają Wiedeń i zamawiają sobie zaciszną willę w Siedmiogrodzie...

Ostatnie dzienniki mówią, iż zmienić mają wyznanie i połączyć się ślubem.

Patti uczuwa potrzebę usunięcia się na jakiś czas ze sceny i wyrywa się z dotychczasowego żywota...

Co się z nią, z tym fenomenem scenicznym i życiową poniekąd zagadką stanie?

Czy słońce blask swój teraz utraci, czy jeszcze silniejszym strzeli promieniem.

Czy to róży pełń, czy listków opadanie?

„Wczoraj“ czy „jutro?“

Z ZA KULIS OPERY.

Ku pożytkowi debiutantek

spisał

Bywalec teatralny.

I.

Oto **Rozyna!** Partya ta stanowi tryumf *Patti.* Stworzyła ona ją oryginalnie, zupełnie odmiennie od przedstawianych dotąd. Nie jest to dama wielkoświatowa którą *Artôt* przedstawia, ani téż sentymentalna kobietka przez *Aglaję Orgenyi* uosobiana—lub kokietka, jak chce ją mieć *Mondelli.* To wesoła żartobliwa, pełna humoru dziewczka, dająca Almavivie rękę z miłości, rękę wierną, uczciwą. Arja „una voce poco fa“—śpiewaną być winna z całą dokładnością i poszanowaniem dla wielkiego mistrza Rossiniego. Wstyd zaiste by perłę tę kazić dowolnemi dodatkami, passażami i t. p. „Un biglietto, ecolo qua“—śpiewa Patti z prostotą bez manierowania. Przy fortepianie wolno śpiewać arye choćby nie licujące z duchem Rossiniego. Kostyum może być wyszukany, bez zbytku wielce tu śmiesznego aksamitu, którym się obładowują *Bogdani* lub *Mondelli.* Suknia z czerwonego jaskrawego jedwabiu, okryta czarno, kwiat we włosach — i tradycyonalny grzebień, oto wszystko. Balkonowéj sceny bezwarunkowo się nie wypuszcza. *Albani* robiła w niéj wielki efekt. *Anna Bielocha,* uczennica Strakoscha, śpiewała ją tak, jak była napisaną w kontraltowym charakterze. (Od czasów Lablache'a, nie wielu było dobrych Figarów. Jeden może Hermani był wiernym kompozycyi Rossiniego tłomaczem. Dziś najświetniejszym Padilla).

Nader popularną jest **Marta**, która acz więcéj niemiecki ma charakter, znalazła przecież prawo obywatelstwa we Włoszech. Doskonałą jest w partyi téj *Patti.* Usposobienie jéj jest nadzwyczaj wesołe. Ma humor i pewien liryzm. Piosnka przy kołowrotku jest nadzwyczaj śmiało wykonaną; recitativo w początku sceny polowania i wielki duet w ostatniéj scenie zapewniają jéj świetny tryumf. W duecie, Patti wzrusza do głębi całe auditoryum. *Wilt* śpiewała znakomicie tę partyę. Z naszych śpiewaczek *Friderici Jakowicka* śpiewając ją w Konstantynopolu wywoływała grzmot oklasków. Szczególniéj udaje się jéj śpiew „o róży.“

Jedną z najtrudniejszych partyi w starym a popularnym repertuarze, który tu podnosimy, jest **Walentyna** w „Hugonotach“ Nawet najmniejszém uchybieniem zepsuć można całą sztuczną budowę. Najlepiéj pojęła i przedstawiła tę partyę *Kornelja Falcon.* Wielki nacisk kładła ona na lekceważoną zwykle scenę finałową z aktu drugiego, w któréj potęgą głosu pokrywała chór i solistów. W scenie z Raulem dochodziła prawie do szału. W białéj sukni, we włosach rozpuszczonych, przedstawiała się zachwycająco. Tu Falcon tak się przejmowała, iż padała na ziemię prawie zemdlona. Starzy melomani drżeli na

wspomnienie téj gry. Falcon naśladowało wiele śpiewaczek, połowa z nich fałszywie. *Schröder Devrient* wyznaniem uczucia Raulowi, sprawiała ogromne wrażenie. Niepospolita artystka *Fabry Mulder* zachowywała całą siłę dramatyczną do sceny śmierci w akcie ostatnim. *Lucca* przedstawia tu miast wspaniałéj damy, płochą gryzetkę z pokolenia Judy. *Cillah* od słów: „Una donna o Marcello“ była porywającą *Titjens* w chwili kiedy Raul rzuca się z objęć jéj do okna, wydawała krzyk, wstrząsający całém auditoryum. *Patti* grą swoją nie zaciemnia wprawdzie znakomitych poprzedniczek ale śpiewem o wiele je przewyższa.

Violetta należy do najbardziéj trudnych i zarazem wdzięcznych ról tegoczesnego repertuaru. Śpiew lekki tu być musi jak zefir, gra jak potok bystra—co trudno pogodzić. Potrzeba temperamentu artystycznego w wysokim stopniu. Do czasów Doche w Gymnase, Violetta przedstawianą była w ten sam sposób co i Alicya w „Robercie,“ zupełnie niewłaściwy — bo w podskokach i grymasach. Pani *Cortezzi* jedna z pierwszych włoskich śpiewaczek, nadała Violecie typ zupełnie odmienny, podobny do tego jaki Doche stworzyła w „Damie z kamelią.“ Cortezzi śpiew swój przerywała kaszlem, działającym na słuchaczy denerwująco. Bladą była i tak osłabioną, że ledwie zdołała unieść z ciężkiéj materyi zrobioną suknię. *Artôt* Violettę powlekła pokostem silnéj dramatyczności. Ktoś odmówił jéj talentu w tym kierunku utrzymując, iż śpiew jéj tu przypomina skowronka unoszącego się nad uśmiechniętą bachantką. Hr. *Piccolomini* zachwycała w téj partyi słuchaczy świeżym głosem, skromną akcyą i prostym strojem. *Patti* starała się tu grać silnie — charakteru jednak całkiem nie zrozumiała. Lat temu dziesięć wyglądała w partyi téj na pensyonarkę, dziś zdaje się, iż przedstawia margrabinę francuzką dręczoną jaką drobną dworską intryżką. *Ehnn* najbardziéj nam się podobała; czułeś przez miłość pognębioną i odrodzoną kobietę, schnącą przed czasem. Nie należy zapomnieć, iż kostyum z dzisiejszych żurnalów jest tu śmiesznym — rzecz dzieje się za czasów Ludwika XV.

(D. c. n.).

PIĘKNA ROZWÓDKA.

NOWELKA

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

Wydobyłem z szuflady biurka świeży kajecik czystego papieru, nasadziłem świeże pióro w oprawkę, usiadłem i zapatrzyłem się w sufit tak badawczo, jakbym na nim chciał wyczytać sobie temat do nowelki, którą pisać chciałem; gdy w tém otwierają się z łoskotem drzwi i do pokoju wpada jak bomba mój dobry znajomy Staś N., chłopiec wesoły, żywy niesłychanie i nadzwyczaj sympatyczny. Był to jeden z tych rzadkich okazów ludzi serdecznych a szczerych, który mówił to co myślał, a myślał bardzo uczciwie, choć trochę lekko brał życie. W spojrzeniu miał uśmiech, a przez słowa, jak przez szkło przeglądało serce. Lubiał towarzystwo, zabawę, bał się samotności i poważnych rozmów; za to znał się doskonale na różnych gatunkach wina, szalał za pięknemi kobietami, był pierwszym tancerzem na balach; przy tém trochę śpiewał, trochę grał, miał od ojca pensyę miesięczną, która mu wystarczała nietylko na potrzeby, ale i przyjemności, miał lat dwadzieścia sześć, przystojną twarz, błękitne oczy, ładną bródkę i w sperandzie dwie wsie w żyznéj ziemi. To wszystko robiło go bardzo pożądanym w towarzystwach tak męzkich jak i kobiecych. To też używał tego jak ryba w stawie, pluskając się w słońcu szczęścia, które mu się uśmiechało—i chciał wyszumiéć, wyburzyć się, jak młode piwo, by mógł potém spokojnie wejść w ciasną butelkę małżeńskiego pożycia i siedziéć cicho pod korkiem swéj połowicy. Nie będąc sam wielkim lubownikiem pracy, nie lubiał gdy się kto jéj zbytnio oddawał; to téż każda wizyta jego była niebezpieczną dla mego zajęcia. Miał pasyę odciągać mnie od niéj, jakby od nudnéj żony i wyprowadzać z domu.

I teraz ledwie wszedł i zobaczył mnie z piórem w ręku, zaraz od drzwi zawołał:

— Jakto? czas taki cudowny—wiosna wszystkiemi powabami uśmiecha się do ciebie — a ty siedzisz nad temi nudnemi bazgraninami? A, wstydź się, to się nie godzi. Słońce wiosenne trawki, kwiatki, Bóg nie wie co z ziemi wyciąga, a ciebie wyciągnąć nie może. Rzuć do kata to pióro,—bo zajechaliśmy do ciebie, zabieramy się par force ze sobą na spacer.

— Kto taki?

— Ja, doktór B. i jakiś jego kolega, czy téż znajomy. Oryginalny facet—istny anglik wykrojony z żurnalu. Wyobraź sobie oczy porcelanowe, dwa kotlety wiszące po obu stronach bladéj twarzy, mina sztywna wykrochmalona, jak jego kołnierzyk—słowem oryginał. Może ci się przyda do jakiéj powieści,—tylko nie wiem, czy go zdołasz rozgadać, bo milczy, że desperacya bierze. Jestem z nim już od godziny i jeszcze nie słyszałem jego głosu. Czy ty znałeś kiedy co podobnego? No, zbieraj się i chodź.

Usiłowałem bronić się od tego spaceru, pokazałem Staśkowi list redaktora, w którym nagli o powiastkę; ale go tém nie przekonałem wcale.

— Świat nie wiele straci na tém—rzekł—gdy się późniéj trochę dowie od ciebie, że znowu jakaś Numa poszła za Pompiliusza, a ty tymczasem zyskasz jeden piękny i wesoły dzień w życiu. To więcéj znaczy niż powieść. Wszak w każdéj powieści zachwycacie się kwiatkami, motylkami, zielonemi łączkami etc., a w naturze nie chce ci się podziwiać tego. Wam koniecznie trzeba wydrukować to wszystko, to wtedy dopiero mlaszczecie językami, kiwacie głowami i mówicie: a! doskonałe, przecudne. Ja znowu przepadam za takiemi pięknościami, co jeszcze nie były pod prassą drukarską. Ale ja tu gadam, a tamci czekają. No, bierz kapelusz,—tu wtłoczył mi na głowę kapelusz— i chodź ze mną.—Zobaczysz, zabawimy się przepysznie.

Nie pytając zabrał mnie w niewolę i sprowadził na dół. Przy powozie nastąpiło wzajemne przedstawienie i poznanie się z ową imitacyą Anglika, którą doktór nazwał Jastrzębskim czy Jarzębskim; posadzono mnie naprzeciw niego i ruszyliśmy w drogę ku Woli Justowskiéj.

Uprzedzony już przez Staszka, zwróciłem baczniejszą uwagę na ową figurę naszego towarzysza, który jako obcy w naszém kółku i do tego uparcie milczący, psuł nam trochę zabawę i krępował swobodę swoją obecnością. Przypatrzywszy mu się bliżéj, nie mogłem zgodzić się na zdanie Staszka, że wyglądał jak wycięty z żurnalu. Wprawdzie twarz jego była sztywna, bez życia, ale to nie była sztywność gładkich lalek woskowych; była raczéj jakby zamrożoną. W rysach jego napozór spokojnych, znać było jakieś głębsze cięcia, jakie przykrości życia rzeźbić zwykły. Robiły wrażenie zastygłéj lawy, która patrzącemu musiała przywoływać w pamięci chwile gwałtownego wybuchu. Szczególniéj usta jego wązkie zaciśnięte robiły takie wrażenie, jakby się zacięły siłą woli, jakby im gwałtem nakazano milczéć, by nie zdradziły się z wykrzykiem bólu lub gniewu. Na tych milczących ustach zastygł jakiś dziwny uśmiech, który równie można było przypisać pogardzie, jak znudzeniu. Mógł miéć lat trzydzieści kilka i był o ile zauważyłem podczas ukłonu trochę łysy. Przez cały czas bawił się machinalnie łańcuszkiem od zegarka i zdawał się być całkiem obojętny na rozmowę, jaką się prowadziło. Przynajmniéj oczy jego, które Staś nazwał porcelanowemi, nie zdradzały najmniejszego zajęcia się tém, o czém mówiliśmy. A mówiliśmy o wielu rzeczach; szczególniéj Staszek szczebiotał ciągle, jak wróbel na płocie. Jazda nastrajała go zawsze do wielomówstwa; między kołami powozu a jego językiem, istniał jakiś sympatyczny związek — równocześnie w ruch się wprawiały. Mówił

o wszystkiem, co mu pod oczy lub pod myśl podpadło, a miał dar mówienia i nie samą sieczkę wyrzucał z siebie ale i brylantowe dowcipy, iskrzące, świetne. Miał zawsze złoty humor ten człowiek i rzucał nim pełnemi garściami. Śmialiśmy się nieraz z nim razem serdecznie. Tylko owego pana Jarzębskiego nie mógł jakoś rozruszać i ożywić. Uważałem, że go to irytowało, a zarazem zachęcało do coraz szaleńszéj wesołości.

Piękny dzień majowy odpowiadał zupełnie temu wesołemu usposobieniu Stasia. Powóz toczył się cicho po miękkim dywanie młodziutkiéj zieloności, która rozciągała się szeroko i miły oczom dawała widok.

Koło mostu w Rudawie powóz nasz zatrzymał się, by dać miejsce wolne do przejazdu drugiemu powozowi, który nadjechał właśnie z przeciwnéj strony. W powozie tym siedziały dwie kobiety; jedna starsza, jedna młoda i o ile mogłem dojrzéć, wcale piękna. Kiedy powóz mijał nas, Staś spostrzegłszy owe damy, sięgnął szybko ręką do kapelusza. Toż samo zrobił doktór.

Nie wiadomo w skutek którego ukłonu twarz młodéj kobiety oblała się żywym rumieńcem. Rumieniec ten musiał mieć coś epidemicznego, bo i Staś i doktór także się zarumienili; a nawet blado-żółta twarz Anglika zciemniała trochę i zafarbowała się.

Staś najdłużéj został pod urokiem; wychylił się nawet z powozu, goniąc oczami zjawisko, które na nim takie zrobiło wrażenie i dopiero, gdy powóz oddalił się już znacznie, zwrócił się do doktora z zapytaniem:

— Jakto—i ty znasz te panie?

— Wzywano mnie parę razy do starszéj— do matki.

— Szczęśliwy.—Prawda, że cudowna kobieta?

— Która?—spytał doktór z uśmiechem.

— No, przecież nie matka; lubo i ta kiedyś musiała być wcale ładna. Ale córka, córka—to anioł, bóstwo, rusałka. Co za oczy—to morze rozkoszy z dyjamentowemi połyskami. A te dwa dołeczki wdzięków koło ustek, co się zgłębiają przy każdym uśmiechu!—Dałbym się żywcem pochować w tych dołkach i nawet skwitowałbym z powstania na sąd wieczny. — A uważałeś, że na szyjce po lewéj stronie ma maleńki czokoladowy pieprzyk. Godzinę całą wpatrywałem się raz w tego zuchwalca, co się tak wygodnie umieścił na cudownéj szyjce i umierałem z zazdrości, że nie jestem pieprzykiem.

— Gdzieżeś miał czas robić tak dokładne obserwacye?—spytał doktór.

— W wagonie. Jechaliśmy razem ze Lwowa do Krakowa. Dwanaście godzin byłem z nią razem, wyobraź sobie dwanaście godzin — i pierwszy raz przeklinałem tego co wynalazł lokomotywy. Ja radbym był żółwia zaprządz do pociągu. Zdaje mi się, że wieczność z tą kobietą byłaby okropnie krótką. W miarę im bardziéj w nią się wpatrywałem, tem bardziéj rosło pragnienie patrzenia. Rozumie się, że zaraz przedstawiłem się tym paniom i starałem się usługiwać mamie rozmaitemi grzecznościami, do których wspólna jazda daje mnóstwo sposobności. Robiłem to w nadziei, że mama pozwoli mi utrzymać tę znajomość po przyjeździe do Krakowa. Czekałem zaproszenia lub choćby delikatnéj wzmianki, coś w rodzaju „bardzo nam będzie miło" — albo „może jeszcze będziemy miały sposobność;" ale nic, ani słoweczka podobnego, ani mama, ani córka, jakby się umówiły,—nie odstraszyło mnie to jednak i w parę dni późniéj wybrałem się z wizytą. Było to trochę natrętnie, niegrzecznie; ale szło mi o to, aby ją widzieć.

— I zobaczyłeś ją?

— Gdzie tam. Nie przyjęły mnie. Nie chcecie — pomyślałem sobie abym bywał u was w domu i według wszelkich reguł towarzyskiéj przyzwoitości widywał moje bóstwo, to ją będę widywał wbrew wszelkim regułom, będę ją ścigał wszędzie jak cień, jak student. I począłem jéj szukać po balach, koncertach, teatrach, miejscach publicznych spacerów, kościołach, na wystawie obrazów; ale nigdzie jéj nie spotkałem. Już sądziłem, że wyjechały z Krakowa, gdy raz spotkałem córkę samą wychodzącą z kościoła. Na mój ukłon odpowiedziała zaledwie przymuszonem kiwnięciem głowy. To nic, pomyślałem sobie, kiwaj sobie i nie kiwaj, ja cię widywać muszę. Wszak obrazy po kościołach nawet tyle nie kiwną głową, ile ona raczyła, a jednak modlimy się do nich. Dlaczegożbym do niéj modlić się nie miał? I stałem się odtąd strasznie nabożny; dewotki w kościele za przykład mnie pokazywały swoim mężom i synom, jakiś ksiądz chciał mi już za tę moją pilność w uczęszczaniu do kościoła wyrobić odpust zupełny w Rzymie; gdy naraz zaprzestałem tych praktyk religijnych, bo moja piękna pani już ani razu potém nie pokazała się w tym kościele. Spłoszyłem ją. Dziś pierwszy raz zobaczyłem ją od tego czasu. Czy uważałeś, że zarumieniła się, gdym się jéj ukłonił? To dobry znak. Nie tracę nadziei, że z pomocą tego rumieńczyka wcisnę się do jéj mieszkania, a może i do serduszka. Ach, szaleję na tę myśl.

— A ja ci przepowiadam, że nie wciśniesz się—rzekł doktór. Te panie prowadzą prawdziwie klasztorne życie, nigdzie nie bywają, nikogo nie przyjmują i oprócz mnie, dwóch zakonnic Felicyjanek i jeszcze jakiejś wiekowéj damy, nikt więcéj nie przekroczył progu ich domu.

— No, a jeżeli wejdę w roli starającego się? Dla tak czarującéj istoty gotów jestem bez namysłu poświęcić moją wolność kawalerską i zostać mnichem w tym cudownym klasztorze.

— Późno wybrałeś się z tą intencyą — ta pani ma męża.

Stasiek aż poskoczył na siedzeniu na tę niespodziewaną wiadomość.

— Ma męża? A cóż to za osioł ten mąż, że dobrowolnie pozbawia się widoku takiéj żony. Każda chwila nieobecności przy takiéj żonie, to strata miljona rozkoszy i szczęścia, To marnotrawstwo, to zbrodnia.

— Widocznie ów mąż nie uważa tego za tak wielką stratę, kiedy więcéj jak od roku obywa się bez jéj towarzystwa.

— Więcéj jak od roku. — Nie, to niepodobna; chyba że jest ślepy jak Homer i nie widzi, co traci.

— Podobno zanadto dobrze widzi, bo widział nawet to, czego nie ma.

— Jakto?

— Jest zazdrosny i to podobno powód, dla którego rozłączył się z nią.

(D. c. n.).

Polscy artyści we Włoszech.

Zjałowiał klassyczny grunt!

Ojczyzna Rafaela i Corregia, przestała wydawać geniuszów, gaśnie wielkie sztuki światło całą ziemię opromieniające, stygnie żar szlachetny, płomienie w iskierki się zmieniły. Italia nie ma już *swoich* mistrzów!

Jeszcze przy kolebce dziewiętnastego wieku stał tam Canova, lecz po nim, nikt godny nie ujął dłuta i włoskiéj sławy narzędzie rdzewieje dziś osierocone.

I pędzel nie ma wielkich dłoni! Nie podtrzymają go dziesiątki znakomitych artystów, geniuszu potrzeba a ten po rychłym zgonie Fracassiniego dotąd nie zajaśniał.

On jeden czuwać mógł nad mistrzów malarstwa zniczem, lecz wzięła go w swe objęcia śmierć bezlitośna!

Dwudziestoletnie chłopię zdumiewające świat cały, kona przed czasem i nie zostawia spadkobiercy!

Roma milczy, ponura.

...I oto staje cudzoziemiec, który budzi ją z letargu i sztukę prawdziwą ukazuje—Siemiradzki!

I oto do rzeszy na siedmiu osiadłéj pagórkach, przychodzą dwaj i mówią: jesteśmy, żyjemy tu, patrzcie na pracę rąk naszych...

Rzesza hołd oddaje rzeźbiarzom, cudzoziemcom.

Zapytacie kto oni: Sosnowski i Brodzki!

....Pracownie naszych artystów są natłoczone.

Siemiradzki, tworząc „Pochodnie Nerona"—musiał się bronić przed obleżeniem włoskich mecenasów i artystów.

Dziennikarstwo, które tam nieraz porwie się i na świętość, osłupiało i po chwili zachwytu głosem donośnym za Tyber sięgającym, obwołano naszego mistrza sławę.

Sosnowski i Brodzki też szturmy przetrzymują.

Mają oni tam mir niepospolity.

Młodsza brać jak Gerymski malarz i Kloss rzeźbiarz (dramatopisarz zarazem) w szerokich żyją kołach i ogólną są otoczeni sympatyą.

Kloss odbył po Włoszech wycieczkę i świetne odniósł wrażenie.

Bogdaj jak najrychléj imieniowi naszemu na pożytek z nich skorzystał!

...W Florencyi ruchu też między artystyczną garstką naszą wiele.

Lenartowicz formę swą doprowadza do doskonałości.

Jedną ręką trzymać zda się niezmordowanie lutnię, w drugiéj rylec dzierży.

Warszawy dziecię Teodor Rygier, cieszący się tu poczciwą sławą większe i mniejsze rozmiarem tworzy dzieła.

Świetnie wykonał popiersie Bakałowiczowéj.

Podziw wzbudza jego olbrzymie kopernikowe popiersie, które na loteryę przeznaczą, mającą podtrzymać Muzeum Kopernika w wiecznêm mieście.

Tuszy, iż cztery tysiące franków drogą tą uzyska.

Patrzcie! jak pięknemu celowi służy sztuka.

W turnieju międzynarodowym na rok przyszły w Paryżu zapowiedzianym, weźmie też Rygier udział i wyszle tam wspaniałą gruppę, do której gorliwe czyni studya.

A rzeźbiarz to znakomity, inwencyi pełen, pan formy, ideału wierny hołdownik!

Dnia bożego nie marnuje też Teofil Godecki, warszawianin, który rzeźbi kilka głów celujących plastyką, doskonałem natury uchwyceniem i rzadką wyrazistością.

.....Niechaj błogosławione będą te dłonie! Cześć pracy, talentom cześć i obywatelskiemu artystów naszych poczuciu!

tc.

SPORT.

Wyścigi. *Wyscigi w Newmarket.* Pomimo niepogody liczna publiczność zebrała się na ciekawy wyścig o 2,000 gwinei; szczególniéj Londyńczycy w wielkiéj massie przybyli.

Zwyciężony Verneuil w Poule d'Essai, popsuł szyki wszystkim trzymającym za Chamant'em; dla tego téż zwycięzca Middle-Park proponowanym był wieczorem w Newmarket-Room w $^{105}/_{30}$. W środę rano podtrzymywano go w stosunku $^{3}/_{1}$; następnie przed samemi wyścigami utrzymanym został przez swoich jak $^{90}/_{40}$.

Trener Morier'a tyle liczył na swego źrebaka, że trzymał za nim summę bardzo znaczną.

Z drugiéj zaś strony stajnia Rotszylda liczyła, że Strachinowi uda się powtórzyć zwycięztwa odniesione w lasku Bulońskim, pomimo iż kompetentni byli zdania, że szybkość biegu w tym wyścigu wymagana, nie odpowiada zupełnie warunkom, jakie posiada potomek Parmezana i Old-Maid. I w rzeczy saméj mieli słuszność, gdyż szybkość wyścigu była nadzwyczajna, a przytém Strachino okazał się w czasie biegu bardzo nerwowym.

Ruszono z miejsca spokojnie i Monachus poprowadził wyścig; za nim Brown Prince, The Monk, Sylvio i Thunderstone. Chamant Morier, Kingsclere, Warren Hastings, źrebak p. Baltazzi i Strachino.

Przy Bushes Hill, Chamant wysuwa się i pomimo wysileń Brown Prince'a zwycięża go o jedną długość konia. Sylvio przybywa trzecim o $^{3}/_{4}$ długości; źrebak Voltella czwartym; Monachus piątym; The Monk szóstym; Thunderstone siódmym; Strachino ósmym; Warren Hastings dziewiątym; Morier (zakulał) dziesiątym; a Kingsclere ostatnim. Bieg trwał 1 minutę i 50 sekund. Nagroda wynosi 130,000 franków.

Zwycięca Chamant pochodzi ze stada tegoż nazwiska należącego do pana Lefevre.

Główniejsze wyścigi do których zameldowanym został są następujące: Derby w Epsom, wielka nagroda Paryża, Saint Léger w Domaster.

Środa była dniem tryumfu dla stajni w Phantom-House; prócz Chamant'a, Muguet wygrał Welter Stakes; Pardon May Stakes; a Sheldrake Handicap o dwustu Sowerenach.

Depesza telegraficzna

Piątek 4 maja r. b.

One Thousaad Guineas. Bieg 1,600 metrów.

Belphoebe po Toxopolite i Waga własność lorda Harlington'a przybyła pierwsza do mety; Lady Ronalp drugą, a Lady Golightly trzecią.

Oficerowie francuzcy przyjmując udział w konkursach Towarzystwa Hippologicznego francuzkiego w r. b. podczas których odbywały się wyścigi z przeszkodami, w pierwszym zaraz wyścigu z przeszkodami pospadali z koni w liczbie 6-ciu i narazili się na śmiechy i gwizdania publiczności przypatrującéj się wyścigom za płatnemi biletami. W skutek tego wszczęła się polemika, w któréj dowodzono, iż mundur oficerski powinien być szanowanym i dla tego nieprzystoi wojskowym przyjmować udziału w wyścigach, aby na pośmiewisko ludu się wystawiać.

Pomiędzy polemizującemi zdaje nam się zasługującą na uwagę propozycya, ażeby wskrzesić karuzele, w których piękna postawa oficerów w całém świetle się uwydatniała. Karuzele takie ściągały liczną publiczność sympatyzującą i entuzyazmującą się widokiem takowych; a przytém rycerskie te ćwiczenia w których dawniéj w najświetniejszéj epoce Francyi przyjmowali udział książęta i królowie, niezmiernie oddziaływały na poczucie rycerskości w francuzkim narodzie.

Hodowla koni. W Prusach hodowla pełnéj krwi koni oraz do wyścigów używanych, nie doszła do tak świetnych rezultatów jakiemi Francya i Austro-Węgry poszczycić się mogą. Nie można jednakże zaprzeczyć ciągłéj pracy Prusaków w tym kierunku, a w skutek takowej postawienia hodowli rassowych koni na wysokim stopniu doskonałości.

Rząd pruski wziąwszy w opiekę hodowlę koni w całéj monarchii, nie cofa się nigdy przed wydatkami na kupno pierwszéj klassy krwi pełnéj reproduktorów; czego dokonał w roku zeszłym, zakupiwszy w Anglii kilka świetnych ogierów.

I tak dla stada w Graditz (w którém funkcyonuje obecnie rodzony brat znakomitego Blair Athol-Breadalbane) kupione zostały znane pełnéj krwi reproduktory The Palmer po Beadsman za 7,000 funtów szterlingów i Trumpeter po Orlando; dla stada zaś w Trakennen Friponnier po Chevalier d'Industrie (synu Orlando). Konie te dopuszczane są i do klaczy prywatną własnością będących, za cenę umiarkowaną (od 100 do 300 marek).

Konie ze stada w Graditz biegały w roku zeszłym z odznaczeniem, wygrały bowiem na torach niemieckiah summę 76,943$^{3}/_{4}$ marek. Z prywatnych posiadaczy wygrali najwięcéj na wyścigach hr. Bernstorff-Gyldensteen 58,622$^{1}/_{2}$ marek; hr. Henkel 56,787$^{1}/_{2}$ marek; książę Hatzfeld 49,074 marek: hr. fon Langen 45,680; hr. Arnim i p. fon Ertzen 45,322 marek.

Z koni które biegały na torach niemieckich wygrały najwięcéj: ogier gn. Double Zero po Virgilius i Olive 45,100 mark.; og. gn. Eulenspiegel po King of Diamonds i Estrella 20,636 mark. i og. gn. Schützenkönig po Marksman i Adulation 20,261$^{1}/_{4}$ mark.

Pierwsze miejsce pomiędzy niemieckiemi dwulatkami zajmuje og. gn. Berggeist ze stada w Graditz pochodzący po Breadalbane i Brown Duchess

który wygrał 10,700 mark. Bardzo jednak wiele nagród zabrały koniom niemieckim, konie austro-węgierskie jak np. 4-o letni Przedświt po Knight of the Garter; 3-letni ogier Good Hope po Bucaneer; dwuletnia klacz Kinesem po Cambuscan i t. p.

Ogiery, przypłodek których wygrał na niemieckich torach największe summy są następujące:

Bucaneer po Wild Dayrell i córce Little Red-Rover dał zwycięzców 10 którzy wygrali 46,932 mark.

Virgilius po Voltigeur i Eclogue dał 1 zwycięzcę który wygrał 45,100 mark.

Cambuscan po Newminster i The Arrow 5 zwycięzców na summę 38,440.

Saunterrer po I Birdcatcher i Emmi 7 zwycięzców na summę 38,423 mark.

King of Diamonds po King Tom i Esmerald 7 zwycięzców na summę 35,551 $^{1}/_{2}$ mark.

D'Estournel po Parmesan i córce Chanticleer 1-go zwycięzcę na summę 32,687 $_{1}/_{2}$ mark.

Blue Gown po Beadsman i Bas bleu 12 zwyzięzców na summę 30,067 $^{7}/_{10}$ mark.

Savernake po Stockwell i Bribery 15 zwycięzców na summę 29,853 $^{3}/_{4}$ mark.

Z tych ośmiu reproduktorów, trzéj pierwsi znajdują się w Austro-Węgrzech; czwarty i szósty w Anglii, a piąty siódmy i ósmy znajdują się w Niemczech.

Teraz gdy Blue Gown wypożyczonym został do Anglii kompanii w Cobhem, pozostały się tylko w Niemczech sławne dwa reproduktory, to jest King of Diamonds i Savernake.

Miscelanea. Pewna dama znana z elegancyi i strojów w wielkim świecie paryzkim, któréj piękne oczy zastępując posag, dały bogatego lecz skąpego męża, wchodzi pięknego poranku ze łzami w oczach i straszliwym wyrazem twarzy do gabinetu swego małżonka i objawia mu, że uważa za święty obowiązek zwierzyć się z rzeczy ciążącéj jéj na sercu.

Na widok zmienionéj żony i pliki papierów które w ręku trzymała mąż blednie, domyślając się straszliwego wyznania, mogącego podkopać nieskalane nazwisko.

— Dowiesz się o wszystkiém rzecze pani X...., oto czytaj, a gdy to uczynisz sam przyznasz, że obowiązkiem moim świętym będzie natychmiast opuścić ten dach małżeński.

Pan X. chwyta za papiery. W oczach mu się ćmi od złego przeczucia, nareszcie zaczyna czytać. Od pani X. należy się pani M. modniarce 3,800 franków, a pani V. za bieliznę 7,900 franków; pani H. szwaczce 17,000 franków i t. d.; a cyfra ogólna długów wynosiła nie mniéj 40,000 franków.

Pan X. zmarszczył się tylko, zamiast bowiem ataku sercowego, dostał ataku właściwego sknerom.

— To bardzo źle moja pani, nie daruję ci tego.

— Wiem o tém dobrze i dla tego też winę moją naprawię własnemi środkami, rzekła pani X. podając mężowi ostatni arkusz papieru.

— Cóż to znowu? spytał mąż rzuciwszy się ze złości.

— Wiesz pan dobrze że mam piękny głos; oklaski jakiemi darzono mnie podczas ubiegłego karnawału w salonach w których śpiewałam, sprawiły, że otrzymałam zamówienie do śpiewania w operze w Rio-Janeirro.

— Ty śpiewaczką?!.. pani de X... na deskach taatralnych. Nazwisko moje na afiszu, a toż co znowu?

— Występować będę pod anonymem, lub przyjmę nazwisko Madja Carlotta.

— Pani nie masz żadnego prawa to uczynić... jesteś zależną od męża, kontrakt ten jest nieważnym, a długi twoje jutro będą zapłacone.

Pani de X... z wolą męża zgodzić się umiała; a mąż jéj bardzo był szczęśliwy, że impressario zwolnił z kontraktu i to bez pretensyi świeżo zaangażowaną panią de X.

Otóż to nowy sposób dla kobiet światowych wydobywania z kies mężowskich kapitałów na stroje. Radzę jednakże nie zupełnie w tym razie liczyć na wszystkich mężów; zdarzyć się bowiem mogą tacy, co chętnie bardzo zgodziliby się na występy swych żon na scenach teatralnych, mianowicie zaś na drugiéj półkuli.

— W ubiegłym tygodniu w teatrze Zurychu miała miejsce zabawna historya, któréj niewiele brakło, aby nie stała się tragiczną.

Jakiś eskamoter (magik), ogłosił w swych afiszach, że po skończeniu swych sztuk magicznych, zje trzech żywych ludzi! Małe to ogłoszenie ściągnęło do teatru moc narodu. Po skończeniu tedy swych sztuk, odezwał się nasz magik do publiczności, że w żaden sposób zjeść nie może trzech Szwajcarów, albowiem nikt na to poświęcić się nie chce.

Niedokończył jeszcze swéj mowy, aż tu z krzeseł wyskakuje trzech młodych ludzi którzy wpadają ua scenę, objawiając życzenie zostania skonsumowanemi.

Biedny sztukmistrz nie wiedząc co począć, powiada że zobowiązał się zjeść trzech ludzi, ale gołych i bez odzienia; wówczas owi trzéj młodzieńcy udają się za kulisy, a pozbywszy się odzienia powracają na scenę w stroju Adama.

Niepoprzestał jednak na tém oświadczeniu magik; widząc bowiem natarczywość poświęcających się jegomości, tłomaczył się, że niezobowiązywał się na surowo 3 ludzi skonsumować.

Na takie dictum, powstał w sali hałas piekielny tak dalece, że policya z trudnością zeskamotowała eskamotera tylnemi drzwiami teatru, przed wzburzoną i chcącą doraźnie ukarać oszusta publicznością.

J. N.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:			w Cesarstwie i na prowincyi:		Cena numeru pojedynczego
Kwartalnie	Rs. 2	kop. 50	Kwartalnie	Rs. 3	kop. 20.
Półrocznie	„ 5	„ —	Półrocznie	„ 6	
Rocznie	„ 10	„ —	Rocznie	„ 12	



Wyjazd na spacer.

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski.** — Дозволено Цензурою, Варшава 5 Мая 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa, Nowolipki, 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w Warszawie w kantorze drukarni J. Ungra, Nowolipki Nr. 3.